

PAN TANCRED, ALBO OSTATNI ZAJAZD W QUENELLES

Na rozstaju stał drogowszak. Porządny, zadbany, świadczący o wysokim statusie szlaku handlowego, przy którym się znajdował. Gościniec prowadził z Imperium – przez całą Bretonię – aż do Tilei. Za dnia mocno uczęszczany, teraz pustoszał. Zmierzchało bowiem, a wyjątkowo upalne popołudnie przeradzało się z wolna w chłodny, ożywczy wieczór.

W pobliskim Quenelles już jakiś czas temu skończył się targ. Miejscowi chłopci zdążyli więc wrócić do swych gospodarstw, wędrowni kupcy zaś – nie ryzykując podróży po zmroku – pozostali na noc w bezpiecznych murach miasta.

Niewielu było zatem gości w głównej izbie zajazdu, którego szyld przybito do przydrożnego słupa. Karczmarz przecierał blat, wodząc wzrokiem po sali. Miejscowi węglarze – stali bywalcy – raczyli się piwem w kącie pod oknem. Wędrowny mnich Taala w burym habicie pochłaniał kolejną miskę pierogów przy osobnym stoliku. Wąską ławę, najbliżej paleniska zajmował zaś kupiec wraz z ochroniarzami. Zamówił dużo i na bogato. Posługaczka już szykowała na górze pokoje dla niego oraz jego ludzi. Spokojny i udany dzień miał się więc ku końcowi.

Ostatni z klientów budził jednak pewne obawy. Pośrodku izby, przy najdłuższym i najszerszym stole, siedział bowiem rycerz. Nie był to widok szczególnie osobliwy. Bynajmniej.

Po okolicznych drogach kręciło się wielu takich, często korzystających z usług gospody. Ten podróżował lekko i samojeden. Nie panoszył się, za jadło zapłacił. W milczeniu spożywał, co mu podano. Raz po raz zerkał jednak na odrzwia, jakby na kogoś czekał.

To właśnie utwierdziło karczmarza w przekonaniu, że ten dzień wcale się jeszcze nie skończył.

– Nuże, gospodarzu! – zaryczał od wejścia Etienne de Dalmac. – Utoczcie, ten tego, jaki zacny antałek! Bordeleaux albo tileańskiego! Byle nie lokalnego, bo winnice Quenelles śmierdzą!

– Zawrzyj zrazu gębę, jeśli masz takie bzdury gadać! – obruszył się wchodzący za nim do izby Ronald de Gardeterre, miejscowy rycerz. Za nim tłoczyli się kolejni herbowi wraz z przybocznymi. Przestronna sala szybko zappełniła się ludźmi.

Armigerzy jęli organizować miejsce. Na kopach wyprowadzono więc chłopów oraz mnicha. Kupiec z obstawą nie czekał i zawczasu pierzchnął na piętro.

Ławy przestawiono na środek izby, tworząc coś, co w zamyśle miało być okrągłym stołem. W rzeczywistości zaś przypominało mocno koślawy trapez.

Towarzystwu zdawało się to jednak nie przeszkadzać. Tym bardziej, że na blatach szybko pojawiły się misy parującego jadła oraz dzbany pełne wina. Dziewki karczemne – zebrawszy uprzednio tradycyjną ilość klepnięć, uszczypnięć, a także wcale niedwuznacznych komentarzy – uciekły do kuchni. Panowie natomiast wreszcie zasiedli.

Nie od razu jednak przyszło do omawiania powodów zgromadzenia. Przez chwilę słychać było jedynie stukot drewnianych łyżek. Gdy już zaspokojono pierwszy głód, wnet zabrzączały kielichy i dzbanki. Traktowano przy tym o tematach zwyczajnych: polityce, turniejach oraz – jakżeby inaczej – o kobietach.

– Bardzo udała mi się córa hrabiego na Crécy, młoda Ynnet – opowiadał Hugo de Maisondraque. – Ujrzałem ją na trybunie w trakcie ostatniego *jousté*. Oj, piękna dzierlatka z niej wyrosła, przyznacie panowie!

– Zaiste, panie Hugo – zgodził się Jacen, jeden z niewielu Błędnych Rycerzy w kompanii. – Piękna, z górą trzydzieści wiosen od was młodsza, dzierlatka... Hugo pokraśniał na te słowa, pozostali zaś – widząc to – ryknęli gromkim śmiechem.

Po drugiej stronie sali odezwał się Ronald.

– A gdzież podziwiasz się pan Jean d'Artêmare? Bez niego nie lza nam zaczynać...

– Niestety, Jean nie dołączy do nas – pospieszył z odpowiedzią Hénri de Manéhaux. – Na turnieju w Mont-Bleu czekaniem zebrał w przyłbicę. Niefortunnie bardzo. Jako runął z konia, tak już nie wstał...

Krótką chwilę ciszy, jaka zapadła po tych słowach szybko przerwały toasty na cześć pechowego denata. Tymczasem – u nieformalnego szczytu stołu – Huebald le Montagne streszczał wydarzenia z szerokiego świata:

– ...znów źle się dzieje w Kislevie. Najwięksi pesymiści przewidują kolejny najazd z Północy. W Norsce kotłuje się jak w ulu. Zresztą, w Imperium też nie ma lekko. Szerzy się zaraza, a wraz z nią kultury i praktyki haniebne. Z Nuln oraz Middenheim wieść niesie, jakoby szczury wielkości ludzi z kanałów wychodziły i gwałt mieszkańcom czyniły...

– Ha, to ci dopiero! – przerwał mu nagle Etienne. – Bajki, ten tego, prawicie, panie Huebald! Te opowieści o szczuroczłękach wśród światowych ludzi przecie nie przejdą!

- Cichaj! - Guido le Fou zerwał się z miejsca, grożąc palcem. - Nie wiesz, o czym mówisz! W Potępionym Mieście na własne oczy te plugawe kreatury widziałem!

Huebald złapał towarzysza za ramię i usadził z powrotem na ławie. Następnie wznowił opowieść. Teraz już jego relacji słuchali wszyscy przy stole.

- Jakem mówił, źle się dzieje. Podobno poruszyły się mogiły w Sylvanii. Nocami widać dziwne światła w zamkowych oknach Mousillon. Czarne powozy mkną gościńcami, nawet za dnia widziane, terror budząc wśród ludności. Ostatnie pogłoski mówią zaś o wielkim poruszeniu na Złych Ziemiach...

- Oto i powód, dla którego sprowadziłem was tu dzisiaj, panowie - do rozmowy włączył się Tancred d'Alrise, inicjator zgromadzenia. - Jest bowiem szlachetne zadanie do wypełnienia. Prawdziwy *La Quête*! A któż lepiej nada się do niego, niżli my, przyjaciele?

Jego entuzjazm nie udzielił się pozostałym, więc kontynuował:

- Pani nasza, najświętsza czarodziejka Morgiana la Fey, właśnie w te niegościnne strony się udaje. Powodem, stare proroctwa i wieszczby natury mistycznej. Co dla nas istotne, wyprawa ta nie odbywa się pod auspicjami króla...

- Mało powiedziane! - wtrącił się jak zwykle obeznanym Huebald. - *Le Roi* ekspedycji zakazał. Przeszłej zimy rejzy Norsmenów nękały całe wybrzeże. Kamień na kamieniu się nie ostał. A gada się już o kolejnych najazdach. Tedy, kto żyw, ciągnie na Północ, by bronić królewszczyzn. Złe Ziemie daleko, a tu wróg, nie przymierzając, u bram. Chcąc, nie chcąc, nawet Rycerze Graala musieli uznać królewskie rozkazanie...

- Ano, musieli - potwierdził Tancred. - Jednak Pani Morgiana uparcie przy swoim obstaje. Spraw ważkich porzucić nie zamierza. Dlatego też na nas spada obowiązek dopomóc...

- Hola! - krzyknął Ronald. - Naprzeciw królewskiemu słowu mamy stawać? O co też nas prosicie, panie Tancred?

- Nadto... - zawtórował mu Etienne - ...Złe Ziemie daleko, droga żmudna. Czasu, ten tego, zmitrężymy, a nasze lance w ojczyźnie potrzebne nie mniej, jakeśmy słyszeli.

- Nie godzi się jednak nie przyjść z pomocą damie. Tym bardziej, że dama to zacna!

- Prawdę rzekł Jacen - podjął Tancred. - Nie godzi się. Jest też w tym przedsięwzięciu i dla nas interes, panowie. Jako *Madame* Morgiana rzekła, każdy, kto pójdzie, zazna łaski Pani Jeziora. Może przyjść nam z Graala wypić!

Na te słowa zachnął się Hugo.

- Ha! Ileż to już razy dane mi było tego słuchać? Dekadę przeszło, jak tułam się po świecie i wszędzie tylko takie gadanie. „Jeszcze tylko na tę górę wleź, Hugo. Jeszcze tylko tego bazyliuszka ubij. Nyni, Graal już za winklem. Tam, o! Za wychodkiem się błyszczy. Jeszcze tylko w ten wychodek nura daj, Hugo...”

- Błuznisz! - znów poderwał się raptus Guido. Raz jeszcze musiał go usadzić Huebald. Sam jednak pogroził przy tym palcem.

- Za ten cynizm winniśmy cię tu nahajkami oćwiczyć, Hugo. Na ubitej ziemi za takie słowa kiedyś staniesz. Nasza Pani temu drugiemu naoczas pobłogosławi... Nastała niezręczna chwila ciszy, którą przerwał Tancred.

- Król dość ma rycerzy, a Świętej Pani odmówić nie wypada. Lecz skoro zgody pełnej nie ma, dalej, głosujmy! Kto jest za wyprawą do Złych Ziem? Rycerze podnieśli ręce. Nie trzeba było pytać, kto przeciw.

Etienne zaklął. Był jednym z nielicznych przegranych.

- Niech was zaraza... No to kiedy, ten tego, ruszamy? Podniosła się wrzawa, znów poszły w ruch dzbany i kielichy. Toast za toastem, niektórzy już gratulowali sobie błogosławieństwa Graala. Tych kilku niechętnych szybko zapomniało o swych wątpliwościach i teraz przepijali wesoło do swych kompanów.

Tancred uśmiechnął się w duchu. Nie był pewien, czy przekona wszystkich. Koniec końców poszło jednak całkiem gładko.

- Bywaj tu, Arsen! - Krzyczał Ronald na giermków. - Bywaj i ty, Pepin! W drodze

pożytek z was żaden, tedy choć zagrajcie nam coś!

- Gospodarzu! - Wtórował mu Hénri. - Hola! Raccie utoczyc jeszcze jeden antałek!

Tancred - jak się okazało - zasnął tam, gdzie siedział. Na ławie, wsparty o stół. Wstając, zachwiał się lekko. Sporo wina przelało się zeszłego wieczora. Przez okna do izby wpadał już brzask jutrzeńki. Rycerz ruszył w stronę drzwi, kopiąc na dzień dobry śpiących po kątach towarzyszy. Chłodne powietrze poranka otrzeźwiło go nieco. Rozejrzył się. Mgła płożyła się na polach. Czerwone słońce ledwie wychynęło zza horyzontu. Panowała cisza.

Od drogi w stronę karczmy zmierzał zaś niewielki poczet jeźdźców. Prowadziła go znajoma postać. Giselle, kapłanka Pani Jeziora, uśmiechnęła się promiennie na widok Tancreda. Uniosła rękę w pozdrowieniu. Prócz niej, w orszaku było kilku herbowych, w tym jeden Rycerz Graala.

Między nimi zaś... Tancred skłonił się natychmiast, rozpoznając Morgianę la Fey.

Nowoprzybyli wzbudzili niemałe poruszenie. Cała kompania wnet wyległa z gospody szepcząc między sobą zapamiętałe. Pierwsza Dama Bretonni obrzuciła ich chłodnym spojrzeniem. Wszyscy po kolei powieszali głowy, nie chcąc napotkać jej wzroku. Rechot żab z pobliskiego stawu przypominał o możliwych konsekwencjach.

– Raduje się nasze serce – przemówiła wreszcie czarodziejka – że tak wielu znamienitych synów Gillesa zdecydowało towarzyszyć nam w tej niebezpiecznej misji. Zaiste, nie będzie wam to zapomniane. Pani nagradza bowiem cnotę odwagi. Jednakże, teraz, moi panowie, musimy się spieszyć. Nie trzeba było dwa razy powtarzać. Jeżeli wśród kompanów były jeszcze jakieś wątpliwości, to właśnie rozwiały się bezpowrotnie. Zaledwie w kilka chwil gotowi byli wyruszyć.

Zebrali się na rozstajach pustego gościńca. Morgiana czekała ich, stojąc boso wśród przydrożnych traw. W dłoniach trzymała złoty kielich.

Giselle zaintonowała śpiewną modlitwę, a rycerze uklękli, aby przyjąć błogosławieństwo.

Tancred dostrzegł kątem oka poruszenie. Mgła – do tej pory spowijająca okoliczne łąki – zaczynała gęstnieć. Wzbierała, wyraźnie sunąc w ich stronę. Zdawałoby się, w odpowiedzi na słowa litanii. Zniknął z oczu zajazd, zniknął las i rozdroża. W pewnym momencie ciężko było nawet dojrzeć towarzysza obok, czy też dukt pod nogami.

Pochłonęła ich biel.

Na rozstaju stał drogowskaz. Pochylony, wyraźnie zaniedbany. Mgła rzedła i rozplywała się w powietrzu. Tancred wstał z kolan.

Gościńiec zdał mu się obcym. Przyjrzał się więc przydrożnemu słupowi. Wisiała na nim jedna tylko, mocno przekrzywiona tabliczka. Spod warstwy brudu ledwie dało się odczytać napis.

Dreszcz przebiegł rycerzowi po plecach. Oto znaleźli się na granicy Złych Ziem.

Mateusz Dąbrowski

